FELIETON Z WIERSZEM - ESKALACJA ONIRYZMU

Na wstępie rozczaruję wszystkich tych, którzy sugerując się tytułem, spodziewali się inwazji sennych marzeń. Będzie wprost przeciwnie. Rzecz dzieje się w rzeczywistości i dotyka nas na każdym kroku, kompletnie nie zważając na nasz pojedynczy sprzeciw. Rzeczoną rzeczą jest: zachodząca w tempie ekspresowym transformacja rodzimego języka.

Koleżanka polonistka, dostosowując warsztat pracy do obowiązującego trendu "odnudzania lekcji", omawia zagadnienie wspomnianego przeobrażania przy użyciu papieru toaletowego. Odrywa kawałek, miętoli i nazywa zmiętolone coś - neologizmem. Następnie wkłada neologizm do otworu w rolce, czyli wprowadza słowo do powszechnego użytku. Po pewnym czasie słowo, wielokrotnie przemielone językami ludzi, wypada dołem rolki jako archaizm. Niby proces dobrze nam znany i naturalny. Tylko dlaczego mam wrażenie, że obecne wkładanie neologizmów bardziej przypomina wsypywanie z worka?

Historia nie oszczędzała naszego narodu i może jej na przekór przez stulecia broniliśmy polskości języka. Coś na zasadzie psa ogrodnika: nie wolno nam używać, ale nie oddamy - szczerząc kły. W ten sposób odwarczeliśmy latynizację, rusyfikację i germanizację. Licho jednak nie śpi. Jeśli nie przymusem to podstępem - powoli zaczyna dopinać swego. Młode pokolenie, zachłyśnięte szeroko pojmowaną wolnością i zachodnią kulturą, z własnej woli częstuje się wszystkim, co mu podadzą na tacy. A przecież bezkrytyczność wobec językowego niechlujstwa jest niczym innym, jak zatracaniem tożsamości narodowej.

Trochę mnie poniosło z tym prawicowym moralizatorstwem, więc zmieniam ton. Może teraz o celowości wprowadzania cudzych określeń do języka polskiego. Jednym z powodów jest chęć "zamydlenia uszu". Obco brzmiące wyrażenie często odsuwa na dalszy plan jego prawdziwe znaczenie, łagodzi "negatywność" używanego określenia. Bo czyż nazwanie zwykłego oszusta malwersantem lub defraudantem nie osnuwa go tajemniczą mgiełką? Czyż pani lekkich obyczajów nazwana sex coachem nie zyskuje rangi wybawicielki nieśmiałych mężczyzn?

Drugi powód: szpanerstwo. Dziś w dobrym tonie jest znajomość modnych zwrotów i używanie ich w nadmiarze, graniczącym ze śmiesznością. I tutaj nastąpi wreszcie dekonspiracja tytułu. *Eskalacja, hucpa, projekt* czy *oniryczny* to słowa-krawężniki, o które można się potknąć dosłownie wszędzie. Młodzieżowy język roi się od takich krawężników, systematycznie wymienianych na nowe. Obecnie można się potknąć o określenie "wbić się" (np. na imprezę). Osobiście wolę określenie "wśrubować się", użyte przez ulubionego służącego pana Pickwicka w odniesieniu do Alfreda Jingle'a i Hioba Trottera. Znaczenie to samo, a wymaga mniejszego nakładu sił, ze względu na obecność gwintu.

Powód trzeci: ukazanie bądź, co gorsze, zawyżenie własnego poziomu IQ. Niektórzy intelektualiści lubują się w posługiwaniu wielce "mądrym", zapożyczonym językiem (jak gdyby zapomnieli, *iż Polacy nie gęsi, iż swój*...). Znam ludzi, dla których wyznacznikiem poziomu inteligencji jest przyswojenie i używanie jak największej liczby pojęć, opisanych w słowniku wyrazów obcych. Na mój gust, o wymiarze inteligencji świadczy logiczność rozumowania i przyjazne nastawienie do ciągłego rozwoju. Powyższa definicja ułożyła mi się w taki oto wiersz:

Głód

Nie wiem od czego zacząć, bowiem wiem niezbyt wiele:
o niczym prawie wszystko, o wszystkim prawie nic.
Wiem, że chcę wiedzieć: o wszystkim znacznie więcej, o niczym coraz mniej.
Głodnemu na myśli – sytość wiedzy,
sytemu się marzy – głód poznania.
Błogosławiona "przemiana materii",
błogosławione "nie wiem".
Burczy mi w mózgu – więc muszę
wrzucić coś "na ząb mądrości".

Jeszcze parę słów o szkodliwości nadmiernego "zmądrzania" wypowiedzi. Uwielbiam chodzić na spotkania z tzw. ludźmi kultury. Każdy twórca, bez względu na to, w jakiej dziedzinie sie specjalizuje, czerpie pełnymi garściami ze swojego bogatego wnętrza i rozdaje, bo musi. Zawsze wychodzę z takich spotkań najedzona, by tuż za najbliższym zakrętem poczuć burczenie. Tylko raz zdarzyło mi się wyjść ze spotkania z pewnym poetą lekko zniesmaczoną. Poeta wykonał kawał dobrej, kreciej roboty, częstując zebranych wykładem najeżonym fachową terminologią. Może sądził, że zachwycanie się poezją jest niemożliwe bez znajomości związanych z nią pojęć. Efekt tego był taki, że kolejne spotkania z innymi poetami można już było organizować w bardziej kameralnych warunkach.

Na koniec odrobina autoprezentacji. W kwestii werbalnej jestem mężczyzną – zdecydowanie wolę słuchać niż mówić. Więc tak sobie słucham i słucham, i dochodzę do wniosku, że ten nasz język wcale nie jest już taki nasz. Wszyscy, mniej lub bardziej, ulegamy wpływom językowym. Wszyscy dajemy się wplątać w jakieś słowne przyzwyczajenia, uwięzić w cudzych sformułowaniach, poddać potoczności, która ogranicza wyobraźnię. W związku z powyższym, życzę wszystkim czytelnikom, aby język nigdy nie był dla Was *więzieniem, tylko widzeniem* (P. Grobliński) a nawet jasnowidzeniem. Byle nie przywidzeniem.

Na zdjęciu - autorka tekstu